

Wybory '89 Komitet Obywatelski

SOLIDARNOSĆ

Gazeta Grudziądzka

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
W Imię Boże! Za Wiarę i Ojczyznę!

Grudziądz,

niedziela 4 czerwca 1989

NASI KANDYDACY DO SENATU:

Stanisław Dembiński
Alicja Grześkowiak

DO SEJMU:

Witysław Wiktor Dys-Kulerski
mandat nr 387

W pół wieku po ukazaniu się ostatniego numeru „Gazety Grudziądzkiej” przywołaliśmy do naszego miasta wnuka i imienika jej założyciela, wydawcy i redaktora.

To ważne dla Grudziądza i Pomorza wydarzenie postanowiliśmy uczcić jednorazowym wznowieniem Gazety, licząc przy tym, że przybliży ona czytelnikom zarówno samo — tak zasłużone dla naszej ziemi — pismo, jak i postać grudziądzkiego kandydata na posła

pana Wiktora KULERSKIEGO.

Z podziękowaniem za pamięć o Wiktorze
Kulerskim i jego Gazecie Grudziądzkiej.

Z nadzieją na jej wznowienie i z solidarnościowym pozdrowieniem dla czytelników

Wiktor Kulerski (wnuk)

Grudziądz 27 maja 1989 r.



B. pracownik „Gazety Grudziądzkiej” Pan Szymański
w rozmowie z wnukiem jej wydawcy.

Fenomen „GAZETY GRUDZIĄDZKIEJ“

Pierwszy numer „Gazety Grudziądzkiej” ukazał się 1 października 1894 r. w nakładzie pięciuset egzemplarzy. Jej założyciel i wydawca, Wiktor Kulerski, miał w działalności prasowej na Pomorzu poprzedników i konkurentów — zarówno polskich jak i niemieckich. (Nieprzypadkowo chyba ukazanie się pisma zbiegło się z powstaniem „hakaty”, której organem było wydawane w Grudziądzu „Der Gesellige”, polakożerca gazeta o dużym nakładzie). Niemniej na tle całej produkcji prasowej w skali Pomorza, całego kraju czy wręcz w skali europejskiej, 45-letnie istnienie „Gazety Grudziądzkiej” i imponujące rozbudowane Zakłady Graficznych stanowi swoisty ewenement, fenomen, dla którego trudno byłoby znaleźć jakiegokolwiek odpowiedniki.

Niebywały sukces „Gazety” to dzieło nade wszystko samego założyciela, jego organizacyjnego geniuszu, przedsiębiorczości, energii a także jego uporu i oddania sprawie polskiej i sprawie ludu, najbardziej upośledzonej i gnębionej warstwy społecznej.

Zastosował Wiktor Kulerski amerykański sposób reklamy swego pisma, zorganizował sieć agentów zajmujących się zjednywaniem nowych prenumeratorów, rozsyłał w celu rozpowszechniania bezpłatne egzemplarze gazety i liczne dodatki periodyczne, jak również książki, śpiewniki, kalendarze, elementarze czy starannie wykonane reprodukcje obrazów.

Dla popularyzowania swoich wydawnictw wykorzystywał nawet pobyty w pruskich więzieniach, z których pisał: „Widzicie, Kochani Bracia, znowu wasz wydawca został przez sądy pruskie, za obronę Was skazany! Powetujcie to każdy zjednaniem choćby jednego abonenta”.

Na stale wzrastającą popularność pisma niewątpliwie wpływał też przystępny, prosty i bardzo żywy, utrzymany przy tym w tonie braterskim sposób redagowania. „Gdy Kulerski pisał — relacjonuje ktoś z jemu współczesnych — to zdawało się, że ogień płynie mu spod pióra. Jego zachęty, jego zaklęcia stanowią wzór piśmiennictwa ludowego”.

Związany z ruchem ludowym (w 1912 r. założył polsko-katolicką partię ludową) walczył W. Kulerski na łamach swej gazety z prześladowaniem ludu polskiego przez landratów, agentów policji, pruskich urzędników. Walczył o zachowanie ojczyzniego języka, przynajmniej w kościele i pod rodzinnym dachem, zalecał oszczędność,

propagował postęp przemysłowy i rolniczy, piętnował przechodzenie ziemi w ręce niemieckie.

Wszystko to sprawiało, że liczba abonentów na początku każdego roku się podwajała, by w 1914 r. osiągnąć imponujący, nie mający sobie równych w Europie nakład 128.250 egz. (Dla porównania: „Gazeta Toruńska” wychodziła w nakładzie 1550 egz., „Gazeta Gdańska” — 4000 egz., „Pielgrzym” — 1500 egz.). Docierała „Gazeta Grudziądzka” do USA, Kanady, Brazylii, Australii, Danii, Holandii, Szwecji i Niemiec, gdzie na terenie Westfalii i Nadrenii, miejsc największych skupisk Polaków, miała swoje filie. Posiadała rozległą sieć lokalnych korespondentów oraz cztery mułaje. Ogromnej popularności pisma usiłowały przeciwdziałać władze pruskie, systematycznie nakładając grzywny, kary więzienia dla wydawcy i poszczególnych redaktorów, wytaczając liczne procesy prasowe. Skutki jednak tych sztych okazały się niewspółmierne do efektów promieniowania pisma. Mówił rybak z Łatyku, kaszub Kohnka: „Do nas przychodzi polska „Gazeta Grudziądzka”, inaczej Prusacy trzymaliby nas tu w zupełnej ciemności”.

W niepodległej Rzeczypospolitej pismo z oczywistych powodów zmodyfikowało swój profil, choć nadal prezentowało orientację ludową (Wiktor Kulerski od 1920 r. był członkiem PSL „Piaś” i z listy tegoż stronnictwa został w 1928 r. senatorem). Dzięki istnieniu „Gazety Grudziądzkiej” i wydawnictwa Wiktora Kulerskiego prowincjonalny Grudziądz był znaczącym, promieniującym na całe Pomorze ośrodkiem kulturalnym, o własnej tożsamości, wnoszącym liczące się, istotne wartości do ogólnonarodowego dorobku, wywierającym wpływ na owego dorobku jakość i charakter.

Wiktor KULERSKI syn Witolda, wnuk Wiktora.

Witysław Wiktor Dys-Kulerski, zamieszkały w Warszawie, urodził się w 1935 roku w Grudziądzu. Z miastem naszym wiąże go jednak znacznie więcej niż sam fakt przyścia w nim na świat. Wszak w samym jego centrum stoi od kilku lat obelisk poświęcony dziadowi naszego kandydata na posła, również Wiktorowi, założycielowi „Gazety Grudziądzkiej”, którego zasług dla polskiej kultury, polskiego kościoła, polskiej szkoły i życia społecznego w całym zaborze pruskim nie sposób przecenić.

Jego syn, Witold Kulerski, przejął wydawanie „Gazety Grudziądzkiej” w 1935 r., roku śmierci ojca i roku urodzin syna Wiktora. Za publikowanie niezależnych wiadomości, za wspieranie ruchu ludowego, wspieranie strajków miał liczne konflikty z władzami, skazany był nawet na wyrok więzienia, którego nie zdążył przed wojną odsiedzieć.

W latach okupacji był Witold Kulerski w Londynie, współpracował ściśle ze Stanisławem Mikołajczykiem. Po powrocie do kraju w latach 1944—1947 pracował w PSL. W 1947 r. po sfałszowanych wyborach, w których kandydował — został skazany na 12 lat więzienia z czego 7 odsiedział.

Do 13.12.1981 r. Wiktor Kulerski był nauczycielem biologii, historii i wychowania plastycznego w Międzyzlesiu pod Warszawą.

Jednocześnie już w 1976 r., roku powstania KOR-u, którego stał się współpracownikiem włączył się w działalność opozycyjną i szybko zaczął w niej odgrywać znaczącą rolę. Sam Wiktor Kulerski tak mówi o tym: „Włączenie się moje w tę działalność to w gruncie rzeczy to samo co działało u mojego ojca i dziadka, którzy pracowali na rzecz najbardziej upośledzonej warstwy jaką było chłopstwo. Ruch ludowy był dla mnie zawsze tym co się dziś nazywa ruchem na rzecz praw człowieka i obywatela. I tym samym była „Solidarność”, z tym, że komuniści zepchnęli do klasy upośledzonej właściwie wszystkie warstwy społeczne. Dla mnie „Solidarność” jest niczym innym jak ruchem w obronie ludzi dyskryminowanych, prześladowanych, wyzuczonych ze swoich praw, które są im należne. A druga rzecz: czuję się dłużnikiem moich przodków. Jest to u mnie bardzo żywe i konkretne, bo zarówno ojciec jak i dziadkowie płacili za to wysoką cenę, płacili za to więzieniem, prześladowaniami. Czuję się zobowiązany by przynajmniej w części próbować ten dług spłacić już nie im, ale następnym pokoleniom, tak jak oni pracowali na moje pokolenie”.

W roku 1980 był Wiktor Kulerski jednym ze współzałożycieli NSZZ „Solidarność”. Trzynastego grudnia 1981 zdołał wyjść z domu kilkanaście minut przed przyjściem ZOMO, by wrócić dopiero po pięciu latach, które spędził w podziemiu. Po amnestii wrócił do działalności jawnej, był członkiem RKW. (Jeszcze w podziemiu po aresztowaniu Zbigniewa Bujaka przejął kierownictwo Regionu „Mazowsze”, był członkiem TKK w skali krajowej). Ostatnio brał udział jako członek komisji ds. nauki, oświaty i postępu technicznego w obradach Okrągłego Stołu.

Wchodzi w skład Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie. Zawodowo pracuje obecnie w Bibliotece Uniwersytetu Warszawskiego.

Jeśli opozycyjna działalność Wiktora Kulerskiego stanowi kontynuację działań dziadka i ojca w sensie obrony podstawowych dla egzystencji narodu wartości jak wolność, niezależność myślenia, sprawiedliwość społeczna — to jego kandydowanie na grudziądzkiego posła odczytać można również jako powrót do źródeł już w sensie bardziej dosłownym: powrót do rodzinnej ziemi, o której dobrze zamierza zabiegać jak niegdyś jego przodkowie.

W jakimś sensie zamyka się w tym momencie koło, nie tylko rodzinnej historii.

Barbara Jerka

Powitalne przemówienie WIKTORA KULERSKIEGO wygłoszone 13 maja (fragmenty)

Pierwszą rzeczą jaką chciałbym zrobić to w tej chwili złożyć kwiaty przed głazem poświęconym pamięci tego, któremu zawdzięczam Wasze zaufanie do mnie. Rozumiem, że to jest zaufanie nie tylko do mnie, ale do rodziny, jaką tutaj reprezentuję.

Nazwę Was, drodzy zebrani, krajanami, nazwę tak po prostu dlatego, że ja się w tym mieście urodziłem, że spędziłem w nim dzieciństwo.

Dziękuję Wam, Bóg zapłać za to wszystko, Bóg zapłać, bo to jest w dobrej sprawie. Przejmuje mnie zaproszenie tutaj do Grudziądza, zaufanie jakim mnie obdarzacie, przejmuje mnie jednocześnie i radością i obciąża wielkim brzemieniem. Radością, bo ja się tu urodziłem, w tym mieście nadal mieszka moja rodzina. (...) Musimy jednak wszyscy pamiętać, że to jeszcze nie są w pełni wolne i demokratyczne wybory. Musimy pamiętać, że większość komunistów w Sejmie jest z góry zagwarantowana niezależnie od woli wyborców. Kiedy rozmawiałem o tym z moim ojcem powiedział: „twój dziad zanim został senatorem niepodległej Rzeczypospolitej przedtem musiał być posłem w parlamencie pruskim, reprezentując polską mniejszość narodową”. (...) Jest to próba. Po doświadczeniach z PSL-em i Stanisławem Mikołajczykiem nie możemy wykluczyć i tego, że mamy do czynienia z kolejną mistyfikacją. Nie możemy tego wykluczyć, ale jednocześnie — podkreślam — nie możemy zakładać z góry, że tak właśnie będzie. Aby się dowiedzieć czy jest to autentyczna szansa — musimy tę próbę podjąć. Tylko podejmując próbę nie będziemy sobie czynić wyrzutu zaniedbania. Chcę móc w przyszłości powiedzieć sobie i chęć abyście wszyscy, drodzy krajanie, mogli sobie również to powiedzieć: zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, a reszta zależy już tylko od Opatrzności. Niektórzy żartobliwie mawiają: a reszta — to wola boska i skrzypce.

Świadom jestem tego, że znowu będę musiał walczyć. Walczyć o to abyście wy wszyscy mogli ująć swój los w swoje własne dłonie i włodarzyli wedle własnej woli i własnego rozumu. Podstawową sprawą dla regionów, gmin, miast jest właśnie to, żeby był samorząd, a nie sam urząd. Urzędnicy samorządowi muszą być odpowiedzialni przed Wami a nie przed centralą, muszą być przez Was wybierani i przed Wami muszą być odpowiedzialni, przed nikim innym. To są podstawowe sprawy.

Jeśli uda się nam wspólnie coś uczynić będzie to zasługa Wasza i naszych wspólnych przodków, których spuścizną jest w nas zakorzeniona. Dzięki tej spuściznie staję tu dzisiaj przed Wami u progu drogi, na którą mamy razem wejść. Jak pokonamy tę

drogę zależy już tylko od tego na ile okażemy się lepsi od naszych przeciwników i od tego ile przewagę z ich strony zdołamy przewyciężyć.

Naród nasz czyni to od dwustu lat, ma za sobą porażki i klęski, ale ma i osiągnięcia. Podnieśliśmy się w r. 1918, w r. 1989, da Bóg że podnieśliśmy się znowu, raz jeszcze i na dłużej. Teraz, skoro mnie już przywołaliście do siebie i do mojego miasta, w którym się urodziłem chcę pozostać z Wami i pracować razem z Wami. W tym dopomóż mi Bóg dopomóżcie mi Wy wszyscy, pracujący razem ze mną. Dziękuję Wam.

„Panie Wiktorze, niech Pan do nas wróci”

Jakże dużo zawarło się w ciągu tych niewielu przecięz dni kampanii wyborczej Wiktora Kulerskiego. W nieustannie zmieniającej się scenerii i pejzażu, przed ciągle nowym, odmiennym audytorium, w halach fabrycznych, w domach kultury, szkołach, kościołach, strażackich remizach, a nawet na trawie, wśród pól mówił nasz kandydat — dostosowując się oczywiście do specyfiki różnych środowisk — właściwie o jednym nade wszystko: o konieczności wejścia na tę niepewną, trudną a jednak być może stwarzającą szansę ratowania kraju drogę, jaką zarysowała się po Okrągłym Stole. Idąc wspólnie tą drogą i nawzajem się w niej wspierając — on i my jego wyborcy — będziemy walczyć o to by stać się gospodarzami swoich gmin i miast, w efekcie czego stanie się możliwe odbudowanie samorządnej Rzeczypospolitej.

Ow wyborczy program Wiktora Kulerskiego, nietawny, ale bardzo przemyślany, mądry i uczciwy, spotykał się wszędzie z dużym zrozumieniem, aprobatą i jednocześnie budził swoisty odzew: ludzie zaczęli głośno mówić o swoich bolączkach, o tym co im przeszkadza efektywnie pracować i godnie żyć. Traktowani poważnie, wysłuchiwni z życzliwą uwagą i zrozumieniem — prostowali się, zdobywali się na odwagę głośnego mówienia — nawet w obecności swoich zwierzchników.

Tak było w PGR Rogóźno — Zamek, w grudziądzkim „Stomilu”, tak było na spotkaniu z mieszkańcami „Golubia-Dobrzynia”, w Radominie, Grodzicznie czy Biskupcu.



Nie sposób wymienić wszystkich miejscowości, opowiedzieć o wszystkich spotkaniach. O rolnikach w szkolnych ławkach, mówiących o oddawaniu ziemi za emerytury, o księdzu proboszczu z Ostrowitego, dziękującym, że po czterdziestu latach na publicznym zebraniu ktoś kandydujący do najwyższych władz państwowych rozpoczyna swoje wystąpienie słowami: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus”, o pensjonariuszu Zakładu Opieki Społecznej, który jeszcze przed 1-szą wojną światową rozniósł „Gazetę Grudziądzką” w Westfalii, który teraz ze wzruszeniem dziękował wnukowi wydawcy „Gazety” za odwiedzinę, za zainteresowanie losem jego i współtowarzyszy, o mszy św. w intencji ojczyzny w Golubiu-Dobrzyniu, gdzie po wygłoszonym w ścisłym tonie, ale może tym bardziej przejmującym przemówieniu pana Wiktora długo nie milkły oklaski a „Boże coś Polskę” brzmiało wyjątkowo donośnie i gdzie starsza pani prosiła o autograf rozplakała się mówiąc, że czterdzieści lat na tę chwilę czekała. A przecież trzeba by jeszcze wspomnieć o Jabłonowie i tamtejszym proboszczu, tak serdecznie podejmującym aż dwukrotnie naszego kandydata na posła, o spotkaniu z dojrzałą, świadomą załogą grudziądzkiej „Warmy”, o wspaniałej młodzieży Zespołu Szkół Chemiczno-Elektrycznych, o gorących owocach na brodnickim rynku, i wielu, wielu innych niezapomnianych meetingach i tych całkiem kameralnych, niemal prywatnych spotkaniach. Jedno je wszystkie łączyło: powtarzająca się w różnych wariantach prośba: „Panie Wiktorze, niech Pan o nas nie zapomina, niech Pan do nas koniecznie wróci. Będziemy czekać. Rolnicy mówili: do zobaczenia po żniwach. Szczęść Boże”.

Barbara Jerka

„Czuje się Pomorzanie, tu są moje korzenie“

Rozmowa z Wiktorem Kulerskim

Redakcja: Czy sądzi Pan, że program reform, który obecnie ma być wdrażany zyska zrozumienie i poparcie szerokiego ogółu społeczeństwa?

W. Kulerski: Wrzyski reformy gospodarcze, polityczne, społeczne mają szansę dać efekty w postaci zahamowania spadku stopy życiowej, zahamowania inflacji nie wcześniej niż za 4—5 lat. To jest tak jak z drzewem, jak z rośliną, jeśli się ją posadzi czy zaszczerpi, zanim wyda ona owoce musi się zakorzenić, musi się rozkrzewić. Na to potrzeba jednak paru lat. (...)

Chcąc uzdrowić ten kraj, chcąc go leczyć musimy dokonać po prostu pewnej operacji, tak jak na ciężko chorym pacjencie. Musimy płacić pewnym bólem, pewnym cierpieniem, które ma miejsce nie tylko podczas operacji, ale także wówczas gdy tworzą się zrosty, gdy organizm dochodzi z powrotem do sił. Wszystko ma swoją cenę. Żeby nie chorować jutro — musimy cierpieć dzisiaj.

Red.: Dużo mówi Pan o tym, że jedyna droga do naprawy tego kraju wiedzie poprzez decentralizację władzy, poprzez odbudowę całej władzy przedstawicielskiej. Ale czy ludzie będą chcieli to zrobić, czy te 50 lat komunistycznych rządów nie oduczyło ich aktywności, samodzielności, wreszcie wiary, że faktycznie można coś zrobić?

W.K.: To jest jedna z ogromnych przeszkód, która niewątpliwie utrudni wyprowadzenie kraju z kryzysu. Rzeczywiście tak jest, że ludzie przez 50 lat rządów komunistycznych przyzwyczajeni zostali do dwóch rzeczy: do tego żeby czekać na dyspozycje, na rozkazy nawet, żeby czekać aż ktoś coś zdecyduje, natomiast nie są przyzwyczajeni by brać inicjatywę w własne ręce, są w dużej mierze pozbawieni inwencji, pewnych umiejętności, które daje życie w kraju demokratycznym. To wszystko jest ogromną przeszkodą. Otóż dwa, a nawet trzy czynniki są nam potrzebne. Są potrzebne zagwarantowane prawnie możliwości ujęcia swego losu we własne ręce. Są potrzebne pewne umiejętności, które nabywa się w działaniu i wreszcie potrzebna jest wola działania. Jeśli któregoś z tych elementów zabraknie, oczywiście że nie z tego nie będzie. Ja liczę tu na pewien zdrowy instynkt biologiczny, instynkt samoobrony.

Red.: Był Pan niedawno we Francji, teraz jest Pan w Grudziądzu. Jak wyglądają nasze sprawy z perspektywy Paryża, a zarazem jak ocenia Pan sytuację z perspektywy niewielkiego prowincjonalnego miasta?

W.K.: Perspektywa zagraniczna uwydatnia i podkreśla jedną rzecz bardzo charakterystyczną i bardzo nam przeskadzającą. Jest to daleko idące zamknięcie się Polaków na własnym podwórku. Bardzo niewielu Polaków patrzy na sprawy polskie z perspektywy międzynarodowej. To jest niewątpliwie bardzo wielki błąd, który nie pozwala widzieć Polakom Polski i jej spraw we właściwych wymiarach. Natomiast jeśli chodzi o perspektywę Grudziądza, mogę powiedzieć tylko tyle: komunizm ze swoim centralizmem spowodował sytuację, którą można określić tak: Polska to jest właściwie Warszawa i bliżej nieokreślona prowincja, na której nie bardzo wiadomo co się dzieje. I tutaj ogromną rzeczą do zrobienia jest to, by prowincja wydobyła się ze swoich kompleksów, zaczęła być samorządna, zaczęła tworzyć własny ruch gospodarczy, społeczny, kulturalny, żeby przestała oglądać się na Warszawę, żeby nabrała wiary we własne siły i żeby była świadoma swojej wartości. Prowincja musi zachować swoją tożsamość, bardzo odmienną w różnych regionach Polski, inną na Pomorzu, inną np. na Śląsku. Polska bez wartości wnoszonych przez świadomą swego znaczenia prowincję będzie uboga i będzie rozwijała się bardzo wolno.

Red.: Sądzę, że jest to powód, dla którego kandyduje Pan do Sejmu właśnie z Grudziądza. Ale czy jest to powód jedyny?

W.K.: No, na pewno nie jedyny. Muszę powiedzieć — wracając do tego, co powiedziałem przed chwilą — że jedną z rzeczy najbardziej mnie denerwujących, najbardziej mi przeszkadzających, to jest to zadufanie w sobie Warszawy, ten kompleks pewnej wyższości warszawian w stosunku do tzw. prowincji. To są rzeczy dla mnie nie do przyjęcia. I niewątpliwie to jest też powód, że próbując wyłączyć się z działalności w Warszawie, nie mogę tego uczynić w przypadku Grudziądza. Drugim elementem składającym się na to, że Grudziądzowi nie odmawiam jest niewątpliwie tradycja rodzinna. Znacznie większą odpowiedzialność czuję wobec Grudziądza niż wobec jakiegokolwiek innego ośrodka w Polsce. No bo tu są moje korzenie. Tu się urodziłem, tu się wychowałem, tu działał i cierpiał mój ojciec, tu działał i płacił za to swoją cenę mój dziad, to jest moje miasto, moja ziemia. Jeszcze może dodam, że tu działają także pewne względy — zabawne — ale estetyczne. Otóż uważam ziemię pomorską, okolice Grudziądza — w porównaniu z Mazowszem za jedną z najpiękniejszych okolic kraju. Proszę pamiętać, że jestem jednocześnie biologiem i historykiem sztuki. Muszę powiedzieć, że piękno Ziemi Grudziądzkiej, piękno starych miast i miasteczek w tej okolicy, piękno zabytków jest urzekające. I także z tego powodu dobrze się na tej ziemi czuję.

Red.: Jakie są Pana pierwsze wrażenia z kampanii wyborczej?

W.K.: Może podzielę je na dwie dziedziny. Spotkania z wyborcami to jest jedna rzecz i współpraca z MKZ-tem w Grudziądzu to jest druga rzecz. Otóż jestem bardzo zadowolony ze spotkań z wyborcami. Spotykam się z ludźmi jakoś zainteresowanymi, ludźmi po których widać, że pochodzą z regionu, który w przeszłości miał duże tradycje samorządności, duże tradycje pracy społecznej. To są ludzie na całkiem niezłym poziomie, o całkiem niezłym wyrobieniu, ludzie słuchający audycji, ludzie często czytający. Poza tym cieszą się, że my nie roz-

mawiamy jak obcy ludzie. Oni cieszą się, że ja tu jestem. Wielu z nich pamięta mojego ojca i dziadka. Wiele rodzin pracowało w wydawnictwie mojego dziadka, współpracowało z moim ojcem. Ci ludzie pamiętają nas. Witają mnie jak kogoś znajomego i rozmawiają ze mną nawet jak z kimś z rodziny. Miałem spotkania nie tylko w salach parafialnych, nie tylko w szkołach, nie tylko w kościołach, ale w plenerze, pod gorącym niebem, wśród drzew. To były wspaniałe rozmowy — kiedy siedzieliśmy wkoło i rozmawialiśmy bardzo bezpośrednio i szczerze o różnych sprawach. Miałem spotkania w wielu domach prywatnych, na wsi u chłopów, poznałem ich rodziny, nawiązały się stosunki bardzo przyjazne. Chciałbym do tych ludzi wrócić, spotkać się z nimi już całkiem prywatnie, jeszcze raz ich zobaczyć, więcej czasu poświęcić na poznanie ich gospodarstw, okolicy, wsi, takich jak Łąkorz, jak Wardęgowo czy Buskupiec. Wspaniałe spotkanie miałem w Nowym Mieście Lubawskim. To wszystko jest bardzo ważne w warstwie czysto ludzkiej.

Jeśli chodzi o ludzi, którzy ze mną współpracują. To jest wspaniała ekipa. Załuję, że takiej ekipy nie miałem w Warszawie. Zespół bardzo zgrany, gdzie się pracuje na zasadzie partnerstwa, każdy wie co do niego należy, podejmuje inicjatywę. Często ja jestem podporządkowany, często oni są podporządkowani. Tu współpraca odbywa się bez niepotrzebnych słów. Świetnie mi się z tą ekipą pracuje i to jest jeden z bardzo ważnych elementów składających się na to, że mam dobre wrażenie, dobre poczucie i zadowolenie z tej kampanii wyborczej.

Red.: Czy znajduje Pan w sobie cechy typowe dla Pomorza? I jeszcze: co szczególnie cennego w Pana przodkach uważa Pan, że w jakimś sensie przejął, odziedziczył, realizuje w swoim życiu?

W.K.: Oczywiście, cechy wspólne znajduję. Ja czuję się dobrze wśród ludzi w jakiś sposób zorganizowanych, skrupulatnych, mających pewną dyscyplinę myślenia, zachowania, pracy, utrzymujących pewien ład w swoim otoczeniu. To są właśnie cechy Pomorza i to sprawia, że znajduję z nimi dość szybko wspólny język, sam w gruncie rzeczy czując się również Pomorzanie. Może powiem taką zabawną rzecz: moja żona, która pochodzi z „kongresówki” czasem, kiedy denerwuje ją moja zbytnia skrupulatność, moja zbytnia dokładność, to wtedy tak pół żartem-pół dokuczliwie mówi: „ach ta twoja przeklęta pruska dokładność”. W tym powiedzeniu rysuje się może pewna istota sprawy.

Jeśli chodzi o dziedziczenie, to jest bardzo prosta sprawa. Ich indywidualność, ich osobowość ich działalność, ich życie w jakiś sposób po prostu mnie zobowiązuje. W wielu momentach życia ja czuję bardzo żywo ich obecność obok siebie. Oni zobowiązują mnie i wyznaczają mi pewne bariery, pewne granice, w których muszę się poruszać i których nie mogę przekroczyć, dlatego, że cóż, przynosząc sobie ujmę, przyniosłbym ujmę także im, a to jest już znacznie poważniejsza sprawa. Ja mogę wiele ryzykować w stosunku do własnej osoby, znacznie mniej wobec innych ludzi, czy nawet tylko wobec ich pamięci.

Jeszcze jedna rzecz: ludzie, z którymi jestem tu na Pomorzu mają jakieś oczekiwania w stosunku do mnie. Otóż ja sobie zdaję sprawę, że widzą mnie w perspektywie stworzonej przez moich przodków. To jest też coś zobowiązującego. Skoro ci ludzie oczekują ode mnie tego, czego doznawali od moich przodków — ja nie mogę ich zawieść, rozczarować. To jest jak gdyby taka pośrednia droga, przez którą moi przodkowie wpływają także na moje życie, na moje zachowanie, na moją pracę.

Red.: Jaki jest Pana stosunek do Lecha Wałęsy?

W.K.: Widzę w Lechu Wałęsie człowieka wielkiego formatu, jednego z największych, jakich Polska wydała. Skłonny jestem posunąć się do takiego oto porównania: podobnie jak warstwa chłopka wydała przywódców takiej miary jak Wincenty Witos czy Stanisław Mikołajczyk, podobnie jak szlachta miała takich przywódców jak Tadeusz Kościuszko czy Józef Piłsudski, robotnicy wydali wreszcie ze swojej warstwy tak wspaniałego przywódcę jak właśnie Lech Wałęsa. Przy czym chcę zaznaczyć, że bardzo często krytykuje się u Lecha cały szereg jego plebejskich sposobów rozumowania, zachowań, jego charakterystycznego humoru. Uważam, że są to sprawy drugorzędne. Przypominam, że obiektem wielu krytyk, wielu lekceważań, nawet pogardy był także W. Witos z powodu jego chłopskich nawyków. Inteligenci w swoim zadufanym poczuciu wyższości często nie zdają sobie sprawy z tego, że te pewne powierzchowne cechy, związane z warstwą, z której człowiek pochodzi — nie mają znaczenia w sprawach istotnych, że człowiek może wielki kaliber, wielki umysł, wielki charakter reprezentować pod patyną pewnych przyzwyczajęń, sposobów bycia, zachowania, myślenia, wysławiania się, nabytą od warstwy, z której pochodzi. Ja nie jestem tego przeciwnikiem, odwrotnie, uważam że właśnie to nadaje pewną barwność tej postaci, daje pewną charyzmę, zdolność porozumienia się z tak szerokimi warstwami społeczeństwa. Tutaj bardzo bym przestrzegł wszystkich inteligentów, intelektualistów przed zbyt powierzchownym widzeniem tego typu ludzi. Przypominam, że podobnie jest nie tylko w Polsce. Tak wspaniałym człowiekiem był Abraham Lincoln, którego wydały Stany Zjednoczone. Cóż, on był drwalem i spotkał się — podobnie jak Witos, podobnie jak Wałęsa — z dużą dozą pogardy, lekceważenia, a był jednym z najwybitniejszych mężów stanu, którymi Ameryka dziś się szczyci.

Red.: Jakie są Pana sympatie polityczne? Czy uważa Pan, że w sytuacji, kiedy gospodarka być może zadecyduje o wszystkim jest sens zajmować się doktrynami w sensie tworzenia partii politycznych?

W.K.: Partie polityczne w tym znaczeniu dawnym, powiedziałbym XIX-wiecznym, a w tym znaczeniu one żyją w Polsce, mnie specjalnie nie interesują. Nie interesują mnie z paru powodów. Po pierwsze: taki mechanizm, że mamy jakąś doktrynę polityczną, do której staramy się dopasować życie, dopasować funkcjonowanie żywego organizmu jakim jest społeczeństwo, otóż te próby wyrządziły w XX wieku dostatecznie wiele bym miał do nich zaufanie. Ja raczej podchodzę do państwa, do społeczeństwa, jak do pewnego żywego organizmu, który sam wyznacza sobie swój bieg, którego nie można dostosowywać do jakichś wymaginowa-

nych doktryn. Interesuje mnie, jeśli chodzi o sprawy polityczne, w gruncie rzeczy jedna rzecz, prawa człowieka i obywatela. Interesuje mnie by nie było dyskryminowania ludzi, ani wedle wyznania, ani wedle narodowości, ani wedle warstwy społecznej. Żeby ludzie mieli poczucie tego, że są gospodarzami w swoim kraju, że nie odmawia im się prawa do własnej godności, że się ich nie dyskryminuje, że czują się po prostu ludźmi. Jakie odcienie przybierze system polityczny, w którym żyjemy — to jest znacznie mniej ważne. Zły jest zawsze system, który upośledza i dyskryminuje jakąkolwiek warstwę. Będę optował zawsze za takim systemem, który będzie znosił wszelkie dyskryminacje. I wyobrażam sobie, że w tym aspekcie może dobrze funkcjonować zarówno monarchia parlamentarna jak i ustrój republikański. To jak powiadają, są sprawy drugorzędne, natomiast kwestie prawa człowieka są jednocześnie połączone na ogół ze zdrowym systemem konkurencyjnym — bo z kolei niedyskryminowanie nie może oznaczać przywilejów dla ludzi, którzy mają mniej inicjatywy, mniej zdolności. Przy zachowaniu praw człowieka musi być jednocześnie miejsce na zdrową rywalizację, w której im ktoś jest lepszy w jakiejś dziedzinie — tym wyżej się pnie, tym więcej daje spo-

łeczeństwu, z którego wyrósł, na czym korzysta również i to społeczeństwo.

Red.: Czyli, że chyba orientacja liberalna byłaby Panu najbliższa?

W.K.: Tak, w gruncie rzeczy można powiedzieć, że orientacja liberalno-demokratyczna.

Red.: I na zakończenie naszej rozmowy: Czy uważa się Pan za człowieka obdarzonego poczuciem humoru?

W.K.: Bardzo trudno jest samemu siebie oceniać. Może na to pytanie odpowiem inaczej. Znacznie lepiej mi się pracuje z ludźmi, którzy mają poczucie humoru, znacznie trudniej przychodzi mi porozumiewać się i współpracować z ludźmi, którzy tego poczucia humoru nie mają. Otóż poczucie humoru wnosi pewną korektę do perspektywy, z której się patrzy na wiele kwestii. Są pewne sprawy, które w życiu trzeba traktować poważnie, ale jak się wszystkie rzeczy traktuje poważnie, to wtedy znaczy, że żadnej nie traktuje się poważnie.

Red.: Dziękuję serdecznie za rozmowę.

— NASI KANDYDACI DO SENATU —

STANISŁAW DEMBIŃSKI

Urodził się w Poznaniu w 1933 r. Od zakończenia wojny związany jest z Toruniem, gdzie ukończył studia uniwersyteckie i gdzie na swojej macierzystej uczelni, Uniwersytecie Mikołaja Kopernika, wykłada fizykę teoretyczną i kieruje jednym z zakładów w Instytucie Fizyki. Jego naukowy dorobek ceniony jest nie tylko w kraju, ale i za granicą, gdzie był wielokrotnie zapraszany jako wykładowca.

W roku 1981 profesor Stanisław Dembiński został demokratycznie wybranym rektorem, zaś w rok później, jako że nie gwarantował socjalistycznego charakteru uczelni, usunięto go z tego stanowiska.

Jest zwolennikiem systemu wielopartyjnego gospodarki rynkowej opartej na różnych formach własności. Uważa, że „Okragły Stół” stworzył szansę zbudowania systemu demokracji parlamentarnej i traktuje to jako najistotniejsze zadanie dla opozycji, która znajdzie się w Sejmie i w Senacie w najbliższej kadencji.

ALICJA GRZEŚKOWIAK

Urodziła się w roku 1941 w Swirzu, w województwie łwowskim. Pracuje w stopniu doktora habilitowanego na Wydziale Prawa Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, specjalizując się w penologii, czyli nauce o karze.

Alicja Grześkowiak zaangażowana jest, nie tylko zawodowo w kwestii praw człowieka i ich prawno-karnej ochrony. Będąc w Komitecie Obywatelskim przy Lechu Wałęsie i w Centrum Inicjatyw Obywatelskich d.s. reformy prawa karnego, współpracuje jednocześnie z Komitetem Helsińskim, działa w Duszpasterstwie Prawników oraz jest ekspertem d.s. rodziny Episkopatu Polski.

Uważa Alicja Grześkowiak, że prawo winno chronić nie władzę, a człowieka i o to zamierza jako członek Senatu zabiegać.